

Zielona Góra w obiektywie młodych

Zaułki Zielonej Góry 2000-2009, MCKIE Dom Harcerza, Zielona Góra 2009, 72 s.

Pochylam się nad książką, która „kupi mnie” od pierwszego wejrzenia. Prosta, czarno-biała okładka, na niej zdjęcie – dynamiczne, pełne treści,

tajemniczy. Biały tytuł: *Zaułki Zielonej Góry 2000-2009*. W środku – kredowy papier, parę słów i fotografie, jakich nie znajdziesz gdzie indziej.

Dlaczego ludzie robią czarno-białe zdjęcia dzisiaj, gdy w zasięgu ręki mają narzędzia proste i przyjazne, pozwalające nie tylko błysnąć kolorami, ale i sprytnym Photoshopem udoskonalić kształty lub dodać kompozycji jakichś szczególnych walorów? Dlaczego ślęczą w śmierzdzącej chemikaliami ciemni, pochyleni nad karteluzkami, na których majczą ani sławne, ani przepiękne jakoś szczególnie budynki i twarze? Po obejrzeniu albumu już wiem: z miłości. Jest to album czuły i bolesny, jak czułe jest przyglądanie się twarzy starego przyjaciela i bolesne – znajdowanie na niej coraz nowych bruzd niedoskonałości. Widziałam reakcję kilku osób, biorących *Zautki...* pierwszy raz do ręki. Westchnienia, zachwyty, a potem długie, uważne oglądanie, krok po kroku, kartka po kartce. To dzieło chropowate, ale delikatne, nie wypieszczone przez żadne bogate wydawnictwo, nie aspiruje do rywalizacji z oficjalnie pyszniącymi się na półkach księgarń albumami o Zielonej Górze. Ma jednak niezwykłą siłę – to opowieść ludzi młodych, utalentowanych, czasem bezwzględnych, opowieść o ich rodzinnym (najczęściej) mieście, jak o starym przyjacielu, ale to też jak legenda o ginącej Atlantydzie. *Zautki...* są zapisem całej dekady, wielu godzin wędrówek po ulicach, licznych wystaw, dyskusji, zapisem kilku pokoleń i wielu zmian. Nie wiemy, jakie zmiany dotknęły autorów albumu. Można się domyślać, że niektórzy porzucili swoją Atlantydę, szukając oparcia dla swoich planów życiowych w zupełnie innych stronach, niektórzy są ciągle tutaj, ale już nie mogą zbyt często wybiegać w miasto z aparatem, bo życie, bo studia, bo sprawy – dobrze, że zdążyli zostawić ślad, nie tylko na kliszy, ale i w tej książeczce. Tym śladem idzie czytelnik, tropiąc na zdjęciach znajome miejsca, chwile, własne wspomnienia. „[...] fotograf, on bardziej niż inny człowiek odczuwa żywo dwa punkty styczności ze światem: czas i przestrzeń [...] Dokumentowanie otaczającej rzeczywistości, bycie strażnikiem czasu jest przecież podstawą istnienia fotografii” – tak Kinga Krutulska, autorka samej idei *Zautków...*, opiekunka fotografującej młodzieży i mentorka najwybitniejszych z nich, sformułowała swoje *credo* – jak widać – zarażając swoich podopiecznych ideą bycia właśnie strażnikiem czasu, władcą spójnej pamięci. Fotografia jest przecież dobrem wspólnym: pomaga zatrzymać w pamięci i sam moment naciśnięcia migawki, i przeczucia, że TO właśnie zdjęcie będzie niezwykłe; to dobrostan uratowania od niepamięci miejsc, które zaraz po

wizycie fotografa zostały spychaczem zrównane z ziemią, to także to coś, czego poszukiwał bohater filmu *Amator* – prawda, nawet taka trwająca sekundę, uśmiechająca się tylko chwilę – na widok obiektywu, topniejąca jak brudny śnieg. Na tych zdjęciach nawet liszaje na ścianach wyglądają interesująco, dziura w chodniku wzrusza, a zrujnowana szopa w podwórzu udaje, że ukrywa coś więcej niż szpadel i wiadro... Ten świat się musi skończyć, to tymczasowe, skazane na niebyt, posprzątanie, udoskonalenie, już tego właściwie nie ma. Więc dlaczego tak porusza? Nie czujemy zapachu tych zautków, nie słyszymy rozmów tamtejszych mieszkańców, nie wiemy, jak powitali młodych, fotografujących ich prywatność. Widzimy czyste, melancholijne obrazki, czernią i bielą uszlachetnione i szczególne. Na pewno mijaliśmy te miejsca wiele razy, ale tutaj zyskały na urodzie – bo ktoś spojrział na nie z uwagą i podniósł do oka aparat. Czasem nie uzyskał doskonałej ostrości, czasem światło się nie spisało, to także złożyło się na niepowtarzalność i emocjonalność tych obrazków. Susan Sontag napisała w jakiejś swojej pracy o fotografii: „Zbierać fotografie, to zbierać świat”. Tu mamy okrucy czegoś, nad czym inni się tak skwapliwie nie pochylili, ale bez tych okruców obraz świata byłby przecież niepełny. Bardzo szkoda, że skromność Kingi Krutulskiej jako artystki – i wychowawcy artystów – nie pozwoliła się temu wydawnictwu „rozbuchać” i zaciążyć w rękach czytelnika większą ilością stron. Wiadomo jednak, że to niekoniecznie jest uzależnione od woli autora książki. Szkoda więc, że fundusze nie pozwoliły na swobodniejszy dobór dzieł, nie tylko według klucza „każdy uczestnik projektu ma tu choć jedno zdjęcie”. Zostaje z niedosytem, w pół kroku zatrzymana w podróży, mając przecież w pamięci kilka wystaw, na których zdarzyło mi się być, gdy pracownia fotograficzna w Domu Harcerza podsumowywała kolejny etap swojej pracy. Niewielu czytelników miało to szczęście, a szkoda. Zostają ze śladem tej trudnej miłości do swojego miasta, jaką wyrazili tu młodzi autorzy zdjęć, ale też zostają z wrażeniem dotknięcia... magii. Nie bez powodu tak wielu ludzi na świecie poszukuje czarno-białych fotosów – z Nowego Yorku, Paryża, Krakowa – jakiegolwiek byłoby to miasto, miasteczko, czy industrialny to widok, czy błoto na wiejskiej drodze, szlachetniej i niewinniej wyglądają one choćby w sepii, wyeliminowanie zbędnych kolorów czyni je krystalicznymi,

bezbronnymi, jednocześnie daje im jakąś niezwykłą energię. To widać także na stronach tego albumu. I niezwykły staje się fotel przysypany śniegiem, i uśmiech starego szewca zza szyby, i magiczny jest kot na gałęzi, i krzywy chodnik, i niedomknięte drzwi do szopy. I plecy innego fotografa, pochylonego nad swoją lustrzanką, i cień na kałuży, i ten płot, którego dziś nie ma, bo stoi tam już wielka nowoczesna budowla... To jest przecież całkiem spore miasto, widzimy je na co dzień, jak się rozwija, błyszczą, tętni życiem. Tutaj przemówiło do nas szeptem, poniemieckim napisem, przyciszonym echem dalekiej arterii. Onieśmiałe swoją nieładnością, a czasem zachwycone poświęceniem mu chwili uwagi.

Grünberg jakiego nie było, Zielona Góra, jakiej oficjalnie nie ma.

Gratuluję wszystkim, których praca złożyła się na ten album, gratuluję mojemu miastu, że ma takich kronikarzy, gratuluję sobie, że mam na swojej półce ten album – tym, którzy też by tak chcieli, sugeruję udanie się na ulicę Dziką pod numer szósty, odszukanie tam Kingi Krutulskiej i jej podopiecznych, i za jakąś górę złota, albo dwie, uzyskanie *Zautków...* na własność. W zwykłej księgarni są niedostępne, ale dla prawdziwego konesera to przecież żadna przeszkoda..

Ewa Andrzejewska